Surrealistyczne malarstwo Iwony Dufaj



Iwona Dufaj, Healing – 36″ x 60″ plaster and oil on canvas.

Iwona Dufaj jest kanadyjską artystką, która w swoich obrazach olejnych odkrywa wizualną narrację, przekazując ideały emocjonalnych więzi ludzkiej natury.

Urodziła się w Łodzi. Do Kanady przyjechała w 1982 roku. Po ukończeniu torontońskiej Ontario College of Art and Design University (OCADU) Iwona odnosiła sukcesy w dziedzinie grafiki. Po 16 latach kariery graficznej, postanowiła poświęcić się swojemu prawdziwemu powołaniu i realizować swoje aspiracje malarskie.

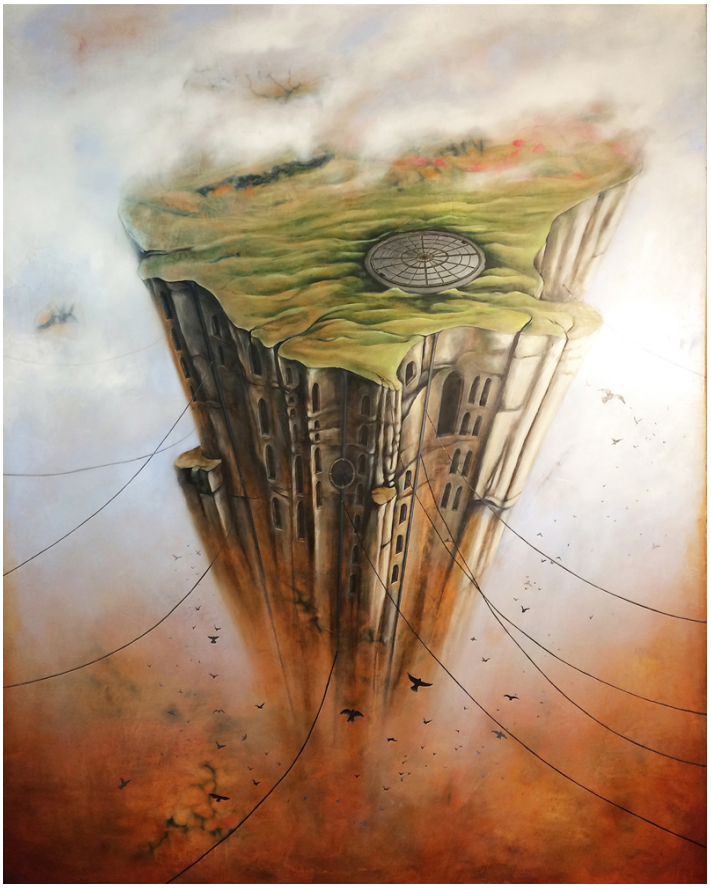
Iwona Dufaj tworzy surrealistyczny alternatywny świat, w którym emocje mogą istnieć bez reperkusji. Pracuje głównie z olejem na płótnie i wielowarstwowym polerowanym gipsem weneckim, stale ulepszając i eksperymentując z techniką, którą opracowała ponad 10 lat temu. Od ponad 20 lat jej prace są wystawiane w galeriach, na wystawach i w zbiorach prywatnych kolekcjonerów, docierając na cały świat.



Galeria



Iwona Dufaj, Edge of Sanity – 30″x 40″ plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Manhole – 30″x 40″ plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, The Rock – 24 x 48_ plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Gallivant – 12” x 24” plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Emigration – 12” x 24”
plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, The Chase – 125″ x 30″ layers of polished Venetian plaster,pencil and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Rite of Passage (Innocence Lost) – 48” x 48” x 2” layers of polished Venetian plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Fatum – 48” x 48” x 2” layers of polished Venetian plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, The Daughter of Woman – 30″ x 40″ – venetian plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Apart – 36″ x 48″ plaster and oil on canvas.

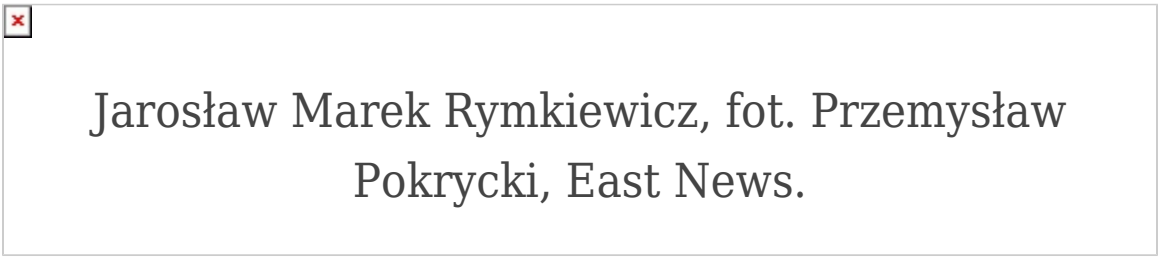


Iwona Dufaj, Pupa – 30” x 60” x 2” layers of polished Venetian plaster and oil on canvas.



Iwona Dufaj, Tree People – 32″ x 48″ plaster and oil on canvas.

Rymkiewicz



Jarosław Marek Rymkiewicz, fot. Przemysław Pokrycki, East News.

Florian Śmieja

Jarosława Marka Rymkiewicza spotkałem po raz pierwszy w Londynie, kiedy pracowałem na London School of Economics. Pamiętam wspólną kolację w restauracji uczelnianej, gdyż miałem akurat dyżur jako tzw. Dziekan Wieczorowy. Rozmawialiśmy, rzecz jasna, o literaturze hiszpańskiej, którą się wtedy interesował i z której zaczął tłumaczyć. Pragnął osiągnąć taką sprawność w języku hiszpańskim, by móc przekładać poezję Góngory, którego widocznie uwielbiał. Jak wiemy, po różnych próbach wziął się odważnie za największego mistrza klasycznego teatru hiszpańskiego, Calderona(1600-1681).

O literaturę hiszpańską dopominali się nieco wcześniej twórcy teatru “Laboratorium” czując, że jej klasyka mogłaby się stać źródłem jeśli nie odnowy, to wzbogacenia polskiej sceny teatralnej. Odwiedzając w 1965 roku Wrocław spotkałem się z

Jerzym Grotowskim i Ludwikiem Flaszenem. Po rozmowie z nimi pochopnie obiecałem spróbować przekładu jakiejś sztuki Calderona. W liście z 18.12.1965 Jerzy Grotowski ponaglał:

> …z niecierpliwością oczekujemy na przekład „Wielkiego teatru świata" Calderona. Ale i co do innych tłumaczeń hiszpańskich, gdyby miał Pan coś godnego uwagi (zwłaszcza z okresu hiszpańskiego baroku) ucieszylibyśmy się z przesłania kopii przekładu. Powtarzam jednak – „Wielki teatr świata" – interesuje nas w stopniu zupełnie szczególnym.

A były to czasy w Polsce w zasadzie nie sprzyjające kanonowi literatury hiszpańskiej. Po śmierci znanych polskich iberystów, a raczej romanistów pracujących również na polu iberystyki, Władysława Folkierskiego, Stefanii Ciesielskiej-Borkowskiej, Karczewskiej-Markiewicz, a później Marii Strzałkowej, zabrakło chętnych do studiowania Calderona, zbyt mało atrakcyjnego dla pedagogów i studentów zachęcanych usilnie do zajmowania się postaciami i tematyką bardziej współczesną i chętniej widzianą przez miarodajne koła. Kiedy w roku 2000 w Katowicach odbył się zjazd z okazji rocznicy Calderona, jak na ironię urządzonego w okrągłej sali zbudowanej dla siebie przez dufną w swoją trwałość partię, wśród uczestników stawiło się kilkoro nagle nawróconych na proskrybowanego nieomal dawniej pisarza.

Także na scenach polskich, na których panowała w latach siedemdziesiątych posucha i szarość, pojawienie się Calderona było odświeżającą nowością. Ujawnił się w inscenizacjach nowy, a więc frapujący i pociągający teatr. Jego sprawca Rymkiewicz uważał przekładanie słynnego klasyka baroku jednocześnie za cenną naukę podstawowych reguł scenicznych, wprowadzania na scenę postaci, budowanie akcji. Nabywał rygoru, umiejętności opowiadania wielkich lekcji monumentalnego teatru. Potrzebował, przynajmniej do czasu, jego pomocy, aby wygłosić nurtujące go w owym czasie kwestie.

Jego pierwszym wyzwaniem był dramat 'polski' „Życie jest snem". Tłumacza fascynowała wielka potrzeba metafizycznego myślenia o świecie. Powstający tekst nazwał imitacją, bo przyświecała mu idea odtworzenia wielkiego dzieła, które w jego opracowaniu zaczęło wędrować po Polsce od 1969 roku przy wielkim wzięciu u publiczności. Nie wszyscy byli z tego w owych czasach zadowoleni. Calderon był postrzegany jako postać anachroniczna, związana ze scholastyką i hiszpańskim despotyzmem. Może nie było przypadkowe, że w całym dwudziestym wieku przed Rymkiewiczem jedynie „Alkad z Zalamei" został przełożony przez Ludwika Hieronima Morstina (Iwaszkiewicz w przedmowie: ..."chłop nieugięty i twardy, w którego spracowanych dłoniach gnie się grzeszna pycha występnego feudała"). Choć nie należy Morstinowi przypisywać wąskiej motywacji, dramat odpowiadał duchowi czasu i

panującej ideologii, jego przekład trafił na sprzyjający zbieg okoliczności.

Z recenzji wynika jasno, że sztuka siedemnastowiecznego Hiszpana potrafiła jeszcze w Polsce wyzwalać napięcia i obawy. Bohater Segismundo, czyli Zygmunt, musiał pozostać przy hiszpańskim imieniu, a jeden z przejętych recenzentów nawet napisał kilka razy "Sesigmundo". Ze sceny wszakże padały odezwania typu: "bądźcie mądrzy Polacy", czy "książę Moskwy nie będzie rządził w twoim kraju". Sprawy stały się jeszcze pikantniejsze, kiedy ów zamaskowany "Sesigmundo" stanął na czele ludzi noszących mundury podchorążych z "Nocy Listopadowej", sztandary białoszare z "Wyzwolenia", a Rosaura zjawiła się w stroju Pallas Ateny. Scenografia dopowiedziała to, co nie mogło być powiedziane wprost.

Nie do wszystkich przemówiła imitacja Rymkiewicza, ale była klarowniejsza od starej, często nieporadnej wersji Boyego.

Wielkim powodzeniem cieszyły się również inne sztuki imitowane: "Księżniczka na opak wywrócona" oraz "Niewidzialna kochanka". Natomiast "Kochankowie piekła" to już Rymkiewicza pożegnanie z Calderonem, dowolna konstrukcja eklektyczna i próba unowocześnienia Diabła.

Rymkiewicz w końcu zarzucił imitację, choć chwalił go za nią

Ryszard Przybylski dowodząc, że przekład jest anihilacją tekstu, natomiast imitacja, jego wskrzeszeniem. On też oświadczył, że

> poeta polski, który wprowadził Calderona w nasze życie, który uczynił z niego jednego z naszych współczesnych pisarzy, nagle …stał się jego zaciekłym wrogiem.

Już Kijowski widział bezzasadność tej deklaracji, a pewnie będą się nad nią zastanawiali hispaniści i teatrolodzy w przyszłości. Bo czyż istotnie mamy w "Kochankach piekła" do czynienia z "manichejskim hymnem na cześć szatana"?

Także farsa "Król Mięsopust" postrzegana jest przez niektórych jako polemika z Calderonem oferująca popularny melanż hispano-sarmacki.

Sukcesy więc, ale i nieporozumienia teatralne, brak zrozumienia niektórych inscenizatorów i krytyków, spowodowały ostateczne odejście Rymkiewicza do prozy. W wywiadzie skarżył się m.in. na nieszanowanie tekstów autorów sztuk:

> …to co powstaje w teatrze, jest czymś zupełnie innym od tego, co się napisało samemu, a więc od mojego prywatnego, imaginacyjnego teatru, dla którego układam słowa…

Nie zadowalała go już też imitacja, szukał klimatu całkowitej swobody czerpania z materiału wcześniejszego, by go swoim talentem odnowić. Zarzucał sobie brak bezwzględności w obchodzeniu się z tekstem Calderona. Wytykano mu cudaczne gry językowe oraz wątpliwe amplifikacje.

Cokolwiek by powiedzieć o jego wieloletniej przygodzie z hiszpańskim dramaturgiem, to jeszcze w liście z października 1999 wspomina ten okres z nostalgią. Pisał do mnie:

> Właściwie nikt się tym nie interesuje i nawet można powiedzieć, że to zainteresowanie, jakie budziły dwadzieścia lat temu moje przekłady, to jest jakiś ideał, teraz nieosiągalny – mimo. że jest wielu młodych ludzi znających język, jest ich z pewnością znacznie więcej, niż w latach naszej młodości. Ale uczą się, jak mi się zdaje, tylko z jakichś praktycznych, handlowych czy biznesowych powodów – nie po to, żeby czytać Calderona…

Powrócił też do pisania wierszy, choć tego właściwie nigdy nie zaprzestał. Pamiętam jego wspaniałe czytanie we Wrocławiu z okazji odbierania w tym mieście nagrody “Odry”.

Od lewej: Florian Śmieja i Jarosław Marek

Rymkiewicz, fot. arch. F. Śmieji.

Kilkanaście lat temu Rymkiewicz zgiełk stolicy zamienił na spokój małego miasteczka. Odwiedziłem go kilka razy w Milanówku, gdzie jego ogród stał się nie tylko ulubionym miejscem pracy fizycznej, ale także wypoczynku i kontemplacji, zaś jego rośliny, drzewa oraz koty i inne zwierzątka stały się natchnieniem i ulubionym tematem specyficznej poezji.

Z myślą o jego poetyckich kotach opowiadałem mu o letnim domku, który wspólnymi siłami rodziny zbudowaliśmy nad Jeziorem Huron w kanadyjskiej prowincji Ontario. Wkopaliśmy przed domem do ziemi starą wannę i wpuściliśmy do niej rybki schwytane w jeziorze i pobliskiej rzece. Pod koniec sezonu przed nadejściem srogiej zimy nasze rybki wracają do rzeki nieco już podchowane.

Tę wannę stale odwiedzają żaby. Niektóre, z kijanek w wannie przeobrażają się w żaby, inne przychodzą z zewnątrz znajdując namiastkę sadzawki i dogodne środowisko do polowania na owady.

Doniósłszy o zadomowionej żabie otrzymałem wierszyk z notacją:

> ...jeśli jak zapowiadałeś, napisałeś już swój wiersz do tejże

żaby, to przeczytaj jej oba: zobaczymy jak zareaguje i komu przyzna wieniec – ten będzie poeta żabi laureatus. Koty na wiersze nie reagują – patrzą martwym okiem, trochę z lekceważeniem, a trochę – jakby się litowały.

JESIENNY WIERSZYK DLA PROFESORA FLORIANA ŚMIEJI ORAZ JEGO ŻABY MIESZKAJĄCEJ W WANNIE NAD JEZIOREM HURON W KANADZIE

Jak tam zdrowie twojej żaby

Czy już nie zamarzła aby

Nad Huronem gdy w zawiei

Stanął domek pana Śmieji

Wtedy żaba w twojej wannie

Będzie się oddawać sannie

Lub na łyżwach pląsać wkoło

(Żabie w wannie jest wesoło)

> Gdy ją wyjmiesz w środku lata
>
> Będzie żaba lodowata
>
> Takie są kąpieli skutki
>
> Żaba – lecz z Zielonej Budki *
>
> Październik 1999

* *Zielona Budka – firma w Warszawie produkująca lody*

Odpowiedziałem niezwłocznie dumając przy okazji nad nieszczęsnym rymem „zawiei” i „Śmieji” (pisownia mojego nazwiska na moje życzenie), pokazującym mizerię polskiej pisowni, choć profesor Jan Miodek zapewniał mnie, że zanosi się na rozsądną zmianę przepisów ortografii zwłaszcza dopełniacza rzeczowników zakończonych na – ja.

RIPOSTA PROFESOROWI JAROSŁAWOWI MARKOWI RYMKIEWICZOWI NA JEGO KŁUSOWNICZY WIERSZ O MOJEJ ŻABIE

> Hola Jarku czy ty aby

nie czepiasz się cudzej żaby?

W końcu w mojej żyje wannie

sprawując się nienagannie.

I nie wadzi Twoim kotom

ceniąc własny kąt i błoto.

Moja żaba nie ucieka

nie obawia się człowieka.

Nad wodą siedzi i marzy

czasem jej się coś przydarzy.

Lubi kiedy jej przyniosę

owada, konika, osę.

Choć udaje flegmatyka

w mig po nie do wody fika.

> Lecz się chyba pogniewała
>
> bo się ze mną nie żegnała.
>
> Teraz kiedy dmą zawieje
>
> dumam, co się z żabą dzieje
>
> i czy zobaczę ją w lecie
>
> bo się dziwnie w świecie plecie.

Miłość po szkocku. Podróż po nowe

życie. Rok 1967.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Liniowiec Fairstar.

Anna Habryn

Rozdział 2

Był majowy, piękny, słoneczny dzień. Stali na nabrzeżu w Southampton, cała szóstka, z zadartymi głowami, w milczeniu. Wielki liniowiec *Fairstar* wznosił się nad nimi białymi piętrami pokładów, na których mrowili się ludzie: bajkowy statek, który miał ich zabrać na koniec świata, do ziemi obiecanej.

Mary wzięła za rękę małą Mandy i ruszyli w kierunku wysokiego

trapu: Mary z trzyletnią córeczką przodem, za nimi ośmioletni Alan i dwaj starsi synowie, Brian i William, taszczący wspólnie walizkę, na końcu Gordon przygarbiony pod ciężarem dwóch wielkich waliz. Rodzinka jak z obrazka, w nowiutkich wiosennych płaszczach, Mandy z warkoczykami przewiązanymi zieloną wstążką, Mary w nowym zielonym kapeluszu. Parli naprzód, zdecydowani pokonać wszelkie przeszkody.

Na pokładzie skierowano ich do olbrzymiego („jak sala balowa", pomyślała Mary) foyer zapełnionego tłumem podróżnych. Stewardzi, przystojni Włosi, krążyli wśród podróżnych jak pszczoły dookoła miodu. Przez głośniki wywoływano jakieś nazwiska. Ludzie śmiali się, płakali, dzieci szalały pod nogami i między walizkami. Dłuższy czas Grantowie czekali, aż wywołano ich nazwisko. Młody steward poprowadził ich w dół, korytarzami, do kabiny. Ulokowano ich w pomieszczeniu podzielonym przepierzeniem: łóżka dla dzieci ustawione były piętrowo w jednej części, dwa łóżka dla rodziców – w przejściu do łazienki. Łazienka była maciupka, ale był tam prysznic, sedes i umywalka. Ogólnie, było to całkiem przytulne, miłe pomieszczenie. Co najważniejsze, byli wszyscy razem. Mary odczuła ulgę, bo cały czas obawiała się, że Gordon będzie musiał mieszkać gdzieś na osobnej sali dla mężczyzn. Właśnie tak podróżował do Australii jej brat Charlie kilka lat wcześniej. Na samą myśl o tym cierpła jej skóra na grzbiecie: sama w obcym otoczeniu z czwórką dzieci! (…)

Na nabrzeżu szkocka orkiestra grała *Will ye no come back again*. Stali przy relingu. Ludzie dookoła płakali i machali rękami do odprowadzających, a pasek wody oddzielającej ich od ojczyzny powoli się poszerzał.

Grantowie nie szukali wzrokiem na nabrzeżu żadnej twarzy, bo cała ich dalsza rodzina pożegnała ich na Kirkcaldy Station trzy dni wcześniej, ale Mary i tak czuła łzy w oczach. I – jak wszyscy – Mary, Mandy, chłopcy i Gordon machali rękami do tych na nabrzeżu, a orkiestra grała *Auld Lang Syne*. Mary pomyślała: *Czego tu płakać! Przecież ja tu jeszcze wrócę.* Gordon objął ją ramieniem i wiedziała, że to, co zostawiają za sobą, jest mniej ważne niż to, co ich czeka. A we Fremantle będą ich witać najbliżsi: jej matka, siostra, brat i ojczym, wszyscy szczęśliwie zakorzenieni już na nowym lądzie. Charlie, brat, wyjechał do Australii pierwszy, zaraz po powrocie z wojska. Lata sześćdziesiąte były trudne na Wyspach Brytyjskich i Charlie nie mógł znaleźć pracy, a w Australii pracy było w bród. Jechał tam z kontraktem w kieszeni. (…)

Zatoka Biskajska, która – jak im mówiono – zawsze była wzburzona, tego majowego dnia lśniła jak lustro. *Fairstar* sunął po srebrnej powierzchni marszczonej lekkimi falami, a na górnym pokładzie zastawionym leżakami kłębili się ludzie. (…)

***

Myśl o wojnie nie opuszczała jej. Nawet kiedy przepływali przez Gibraltar, tak blisko słynnej skały, że widać było małpki skaczące po drzewach, nawet wtedy Mary nie mogła się uwolnić od tego niepokoju. Stała na pokładzie pod wysokim, pogodnym śródziemnomorskim niebem i myślała, że płynie po tym samym morzu, w którym Niemcy omal nie utopili Jana. To było gdzieś w tych okolicach, w 1942, dwunastego listopada (tę datę Mary dobrze pamięta, bo później, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia urodziła się jej siostra Sandra). Jan pływał wtedy na polskim okręcie „Dragon". Miał tam przyjaciela, Stefana. Stefan pochodził z Warszawy, miał 23 lata, Jan, dwa lata starszy, traktował go jak młodszego brata. Tego dnia, późnym rankiem Jan wyszedł na pokład, na krótką przerwę, wypić poranną kawę, a właściwie kakao, oni pijali na drugie śniadanie kakao. I wtedy nadleciało wprost nad ich głowy, z jasnego nieba, sześć samolotów Luftwaffe. Pocisk trafił w sam środek pokładu i rozerwał się dopiero w maszynowni, dokładnie tam, skąd Jan wyszedł pięć minut wcześniej. Okręt ciągle trzymał się na wodzie – Jan zbiegł do maszynowni. Szukał Stefana, znalazł głowę, ciało też tam gdzieś było, wśród szczątków czterdziestu sześciu innych. Nie było już nikogo do ratowania.

Okręt tonął. Łodzie ratunkowe były już spuszczone. Ludzie skakali do nich z pokładu, a nad głowami krążyły niemieckie samoloty i strzelały. Jakiś odłamek trafił Jana w łokieć w momencie, kiedy wdrapywał się do łodzi. Wciągnięto go. Potem

trzy dni płynęli, aż jakiś amerykański okręt wyłowił ich u wybrzeży Afryki. Ręka Jana była już czarna od gangreny.

Po sześciu tygodniach w szpitalu w Algierze, gdzie wszystkie pielęgniarki, zarówno czarne jak białe, mówiły tylko po francusku i żadna nie mogła za niego napisać listu, Jan doszedł do siebie na tyle, że przewieziono go samolotem do Gibraltaru, a stamtąd inny amerykański statek zabrał go do Anglii.

Pewnego dnia, w 1943 roku, stanął na progu ich mieszkania ze swoim przepraszającym uśmiechem, duży i nieporadny, w spodniach od amerykańskiego munduru, w pożyczonej koszuli i w polskiej czapce marynarskiej – i to był cały jego majątek. Wszystkie dokumenty, listy, fotografie rodzinne utonęły w Morzu Śródziemnym.

Mary przechyliła się przez barierkę: w tym ciepłym, zielonkawym morzu, gdzieś na dnie spoczywał „Dragon”, a z nim i Stefan, i inni.

Czy to możliwe, żeby po tylu latach, po tylu cierpieniach, ludzkość nie była mądrzejsza? Czy to możliwe, żeby dzisiaj, w maju 1967 roku, ktoś chciał rozpoczynać wojnę?! Właśnie wtedy, kiedy oni rozpoczynają nowe życie. (…)

***

Dziesięć funtów od osoby kosztował ich ten przejazd do Australii, resztę dopłacał rząd. Oczywiście, żeby na to zasługiwać, kandydat na Australijczyka musiał być nieskazitelnie czysty, bez kartoteki w policji, mieć doskonałe zdrowie i zadowalającą historię zatrudnienia. Toteż można było przyjąć, że *Fairstar* wiózł na pokładzie solidny ładunek uczciwych potencjalnych Australijczyków, choć różnili się oni między sobą akcentem, charakterem i przeszłością. Niektórzy byli nieco zamożniejsi niż inni, bardziej pewni siebie i głośniejsi w barze. (…)

Gordon siedział nad następną szklanką, a oczy pływały mu we łzach. Mary westchnęła.

– Pójdziemy już, prawda?

– Co my tu robimy? Po co my tu siedzimy?

– Och, Gordon, upiłeś się znowu.

– Nie jestem pijany. Jestem głupi, że dałem się namówić na tę podróż. Straciłem wszystko, wszystko sprzedane: dom, samochód. Na zatracenie!

– Kochany – zaczęła tłumaczyć szeptem, jeszcze raz, od początku. – Dorobimy się szybko i więcej, tam są możliwości. Matka pisze, że łatwo o dobrą pracę. Kupimy dom niedługo. Zobaczysz.

– Praca. Oni wszyscy – zatoczył ręką łuk – oni myślą, że znajdą złoto.

– To nie tak. To górnicy, a tam są kopalnie złota.

– Ja nie jestem górnikiem.

– Nie martw się. Jan dostał pracę w mennicy, a Sandra w biurze. Coś się znajdzie dla ciebie, na pewno.

– Po co nam to… Mieliśmy wszystko! (…)

***

Byli małżeństwem od trzynastu lat. Miała osiemnaście lat, kiedy poznała go na zabawie. Dobrze ubrany, farmerski syn, był bardzo przystojny, choć nieco tylko wyższy od niej i dobrze tańczył. Był jednym z czterech braci gospodarujących na 500-akrowej farmie. Wszyscy oni byli uważani za świetne partie. Gordon był pięć lat starszy od Mary.

– To właśnie to, czego ci trzeba – orzekła jej matka. (…)

Jeżeli jednak nie była pewna swych uczuć wobec narzeczonego, to zakochała się od razu w jego rodzinie. Jej teściowa, Izabella, była wszystkim, czym matka rodziny powinna być. Wchodząc do

jej domu, wchodziło się w inny świat. To był wielki wiejski dom: wielki kominek, ogromny stół, obfitość jedzenia, zapach domowych konfitur, domowej roboty bułeczki, naleśniki… Każdy posiłek jak uczta. A przy tym Izabella Grant była piękną, postawną kobietą. Potrafiła być stanowcza i ustanawiać domowe prawa, a jej rodzina odpłacała jej taką samą miłością i szacunkiem, jakimi ona obdarzała ich wszystkich.

Wszystkie wydatki i koszta wesela pokryła Izabella. Mary pochodziła z miasta i mieszkańcy wsi długo uważali ją za obcą, ale w domu Izabelli Mary szybko dostosowała się do życia na farmie. Polubiła je. Przez sześć miesięcy mieszkali z teściową, potem kupili własny, mały domek, och, to było cudowne! Mary miała poczucie, że życie jest piękne u boku jej przystojnego, dobrego i spokojnego męża. Tak, porównując się do innych młodych mężatek dookoła uznawała, że powodzi jej się dobrze. Często zabierała z miasta na farmę swoją młodszą siostrę Sandrę, bo dziewczynka przeważnie siedziała w domu sama: ojciec był zwykle w pracy, a matka… nie wiadomo, gdzie. (…)

***



Kryzys bliskowschodni dopiero się rozpoczynał. *Fairstar* miał być ostatnim statkiem pasażerskim, który przepłynął przez Kanał Sueski w 1967 roku, w ostatniej chwili, choć pasażerowie nie byli tego świadomi. Dookoła panował spokój, tyle że zbliżając się do strefy Kanału mijali stojące na redzie angielskie statki wojenne czekające na przeprawę.

Morze było jak bajka, przez ostatnie dni zachody słońca barwiły niebo nieprawdopodobnymi kolorami, a teraz oto – dla ukoronowania tego wszystkiego – przesuwały się przed jej oczami płaskie brzegi Afryki, jak dekoracja do hollywoodzkiego filmu.

Mary była od dzieciństwa kinomanką. W jej dziecinnej fascynacji

srebrnym ekranem tkwiła gdzieś głęboko wiara, że w tym świecie wytwornych kobiet i wspaniałych romansów, czeka na nią jej własne miejsce.

To było zdumiewające: zapomniane uczucie oczekującej, wspaniałej, tajemniczej przygody znów do niej wróciło, po tylu latach! Kiedy ogłoszono, że w Port Saidzie pasażerowie mogą zejść na ląd i organizuje się dla nich całodniową wycieczkę pod piramidy – powiew egzotycznej przygody był tak silny, że Mary zaparło dech. (…)

Gordon zażyczył sobie odwiedzić sklep złotnika i Mary wiedziała, dlaczego: zbliżały się jej urodziny. Potem zdecydowali przejść się po starożytnych uliczkach na piechotę. Przewodnik szedł z tyłu, prowadząc za sobą konia i bryczkę. Szli nie spiesząc się, rozglądając się i smakując całą niezwykłość otoczenia. Nagle z jakichś drzwi wynurzył się młody Arab w szkarłatnym fezie na głowie, w szacie przewiązanej w pasie jedwabnym sznurem z frędzlami. Wyglądał jak prawdziwy arabski Szejk, wojownik pustyni prosto z kinowego ekranu, *dar bogów dla każdej kobiety*, pomyślała romantycznie Mary. (…)

Port Said to była przygoda. Nigdy nic podobnego już nie zobaczą. Ale bez głębszego wnikania w ciemne tajemnice Wschodu mogą się świetnie obejść.

Równik przekraczali z wielką pompą. Na górnym pokładzie królował brodaty Neptun z orszakiem lekko owłosionych – przy bliższym przyjrzeniu się – Syren. Z dużym hałasem wybierano najpiękniejszą pasażerkę spomiędzy kilkunastu rozchichotanych dziewcząt. Wybrana otrzymywała prawo zasiadania do końca rejsu przy kapitańskim stole. Uroczyście wręczono wszystkim Grantom – zagubionym wśród całej rzeszy innych podróżnych – świadectwa przekroczenia Równika.

Rozdział 3 ukaże się w poniedziałek 27 marca 2017 r.

Życie piosenką usłane

Rozmowa z Jasią Jasińską – artystką lwowską, która przeszła szlak bojowy z 2 Korpusem Polskim gen. Wł. Andersa, po wojnie artystką teatru Hemara w Londynie.

Jasia Jasińska, w kawiarni i na estradzie, ten sam głos, ten sam

wdzięk ta sama Jasia.

(fragment zapowiedzi recitalu)



Jasia Jasińska, fot. arch. artystki.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *Skończyła pani przed wojną szkołę muzyczną we Lwowie. Kto panią uczył?*

Jasia Jasińska: Uczyłam się w prywatnej szkole Malwiny Reiss. Zapamiętałam ją jako okropną dziwaczkę, bo jeszcze w latach

1938-39, sztywno nosiła staromodne wówczas suknie z długim trenem. W szkole miałam wspaniałego profesora, Włocha (nie pamiętam jak się nazywał). Grubas, źle mówił po polsku, ale wiedział jak ustawić mój głos. Był na prawdę nadzwyczajny. Bardzo też chciał mnie uczyć i zwabić do Konserwatorium wspaniały człowiek, Adam Sołtys – wielki dyrektor Konserwatorium we Lwowie, ale ja byłam wówczas w tej prywatnej szkole i się nie zgodziłam. A potem wybuchła wojna.

JSG: *Kim pani się bardziej czuje, śpiewaczką czy aktorką?*

JJ: Od urodzenia jestem i tą i tą, tak myślę. Zawsze fascynowała mnie piosenka aktorska, natomiast opera mnie nigdy nie pociągała, wydawała mi się sztuczna. Przed wojną występowałam we Lwowie na różnych scenach, ale nie operowych. Wystąpiłam też w koncercie na dwa fortepiany, ale fortepian nie był moją pierwszą miłością, instrument traktowałam uzupełniająco.

JSG: *Czy w pani rodzinie były tradycje teatralno-muzyczne?*

JJ: Matka miała bardzo piękny głos i sama sobie śpiewała. W tym okresie, nie można się było uczyć śpiewu, to byłby skandal. Grać na fortepianie wypadało, ale nie śpiewać na scenie. Gdy miałam 6 lat matka wysłała mnie do szkoły muzycznej na lekcje fortepianu. W domu był fortepian, ojciec trochę grał. Ale ja ciągle śpiewałam, śpiewałam i nie mogłam przestać. Więc

później matka w tajemnicy „szmuglowała” mnie do tej właśnie szkoły Malwiny Reissówny, abym się uczyła śpiewu.

JSG: *Czy pani rodzina też pochodziła ze Lwowa?*

JJ: Pochodzimy z wielkiego majątku koło Złoczowa. Nasz herb to Rawicz – „panna na niedźwiedziu”. Ziemie zostały nadane jeszcze przez króla Sobieskiego. Przepiękny pałac bolszewicy zniszczyli podczas pierwszej wojny światowej. Mama mnie tam zabierała, gdy byłam dziewczynką. O ile pamiętam tylko stryj tam urzędował, ojciec nie chciał pojechać. Był naukowcem. Studiował w Wiedniu. Znał języki: grekę, łacinę, naturalnie niemiecki. Ja się modliłam po niemiecku i bony miałam Niemki. Mój ojciec kochał Wiedeń. Opowiadał, jakie tam wymyślali żarty i zabawy. Studenci wszędzie są tacy sami. A mama pochodziła z Przemyślan. Uważała, że to troszkę niżej niż Złoczów. Mama była blondynką, a ojciec był szczupły i ciemny. Wyglądał troszkę na Turka, albo Tatara, w każdym razie na Azjatę. Kiedy ja urodziłam się we Lwowie, rodzice już tam mieszkali. Ojciec chciał być bliżej tej nowej, tworzącej się Polski. Nasz dom, projektowany przez kolegę ojca Karola Stryjeńskiego, (który projektował gmach Politechniki), mieścił się na ulicy Listopada. To była piękna dzielnica. Podczas wojny wszystko zginęło, fotografie, dokumenty, pamiątki.

JSG: *Po wybuchu wojny jeździła pani z zespołem Henryka Warsa*

od Odessy po Syberię.

JJ: Tak, już Rosja mnie zabrała, już nie miałam nic, ani domu, ani matki, ani Lwowa, ani Polski, nic. W naszym zespole był Eugeniusz Bodo, który doskonale mówił po rosyjsku. Ja nie miałam pojęcia o rosyjskim, śpiewałam jakąś polską piosenkę, chyba walczyka. W Odessie z naszym zespołem występowali też Żydzi, śpiewający przed wojną w różnych barach i kawiarniach. Nie rozmawiali po polsku, tylko w swoim języku – jidisz. Pamiętam z tych wędrówek po Rosji straszny głód i mróz. Nie byliśmy wprawdzie w żadnym obozie, czy łagrze, ale też było nam ciężko. Obdarci, w łachmanach, ubranie, które mieliśmy zniszczyło się, nowego nie było skąd wziąć. Ja nie miałam butów, to znaczy miałam wierzch, ale zdarła się podeszwa. A tu 40-to stopniowy mróz. Odmroziłam sobie wtedy stopy i do dziś mi dokuczają. Ale nawet w najgorszych momentach wiedzieliśmy, że mimo zimna i głodu, okrężną drogą – idziemy, idziemy do Polski. I to nas trzymało.

***JSG**: Dlatego z taką radością przyłączyliście się do polskiej armii – Drugiego Korpusu gen. Andersa. Przeszła z nią pani cały szlak bojowy, umilając życie polskim żołnierzom w tym trudnym czasie.*

JJ: Generał Anders był bardzo kochanym człowiekiem i bardzo dobrym. Jak magnes nas trzymał i opiekował się nami. Był też

uroczym, pięknym mężczyzną. Miał piękne oczy, twarz i głos. Wojsko go uwielbiało, jak mówił, to wszystkie oczy zwrócone były tylko na niego. Byłam blisko niego, lubił mój śpiew. Kiedyś siedziałam z nim i jego świtą na wyścigach konnych w Bagdadzie. Darłam się w niebogłosy, tak przeżywałam to co się działo na torach. Wtedy generał mi powiedział, żebym z tym poczekała do wieczora, na koncercie będę mogła się wykrzyczeć do mikrofonu. Generał potrafił żartować, flirtować, ale zawsze był generałem i wszyscy to wiedzieli.

JSG: *Jak wyglądał taki koncert dla żołnierzy?*

JJ: Często o tym myślę i pamiętam bardzo wyraźnie. Na pustyni dwa tysiące żołnierzy, siedzą na piasku. Przyszli prosto z frontu (dowiedziałam się od generała). Jest ciemna noc, nic nie widać, tylko gwiazdy na niebie, scena z desek, mikrofon, harmonia, jedna żarówka i w kompletniej ciszy słychać głos. To ja śpiewam dla nich.

JSG: *Swój pierwszy recital miała pani podczas wojny w Tel-Avivie.*

JJ: Tak, ja katoliczka, wychowana w klasztorze francuskim „Sacre Coeur” we Lwowie, na swoim pierwszym recitalu śpiewałam po hebrajsku. Miałam dobry słuch, to mi pomogło nauczyć się tego języka. W Tel-Avivie chodziłam na lekcje

śpiewu, miałam bardzo dobrą nauczycielkę. Ale na mój pierwszy recital, nie przyszło wiele osób, to była wojna.

JSG: *A potem były Włochy.*

JJ: Ref-Ren miał swój zespół, ja byłam w innym zespole, razem z Renatą Bogdańską, przyszłą żoną generała i jej pierwszym mężem Gwidonem Boruckim. Borucki miał bardzo ładny głos i wyszukane maniery. Był kochany i zawsze uśmiechnięty.


Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska, Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki

Teatr polski w W. Brytanii

Wędrowne komedianty

Od lewej: Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska, Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar”, wyd. Muza.

JSG: *Po zakończeniu wojny znalazła się pani w Londynie i związała się z teatrem Hemara. Jak zapamiętała pani tę legendę*

kabaretu?

JJ: Hemar był bardzo trudny, uszczypliwy, złośliwy i wymagający. Wszystko musiało być tak, jak on chciał i każdy musiał się temu podporządkować. Kiedyś Malicz powiedział, że „po scenie chodzą same Hemary". To o czymś świadczy. Ale on nas wiele nauczył. Zwracał uwagę na piękny język, piękną składnię i jak w dramatycznym teatrze, wszystko musiało mieć swoje miejsce. Pamiętam jak zwracał mi uwagę – nie takim pięknym głosikiem śpiewaj, Jasiuniu. Bał się, że publiczność zwróci uwagę na mój „piękny głosik" i umkną wtedy jego intelektualne teksty, bał się o każde słowo.

JSG: *Wtedy Hemar był drugi raz żonaty z Caroll Anną Eric, która chyba nie rozumiała tych wszystkich polskojęzycznych intelektualnych i politycznych zawiłości.*

JJ: Na pewno był nie wygadany, nie mógł z żoną porozmawiać o wszystkim. Często po spektaklach czekał na mnie w ciemności. Potem spacerowaliśmy, a on opowiadał i opowiadał o sobie. Kiedyś tak się zagadaliśmy, że minęła 10 wieczorem i zamknęli nas w parku. Myślałam, że pęknę ze śmiechu, gdy go zobaczyłam, jak przełazi przez kraty.

JSG: *Jaka publiczność przychodziła na wasze przedstawienia?*

JJ: W Londynie publiczność była bardzo przyjemna, ale wymagająca. Nie mogło być tzw. chałtury, o nie. Była to wybrana publiczność, bo nie wszyscy rozumieli polityczne aluzje, ciężki humor i trudny język.

JSG: *Jak wspomina pani Anglię?*

JJ: Kocham Anglię i bardzo lubię Anglików. Po 11 latach pobytu w Londynie jestem obywatelką brytyjską. Ale Anglia, to był dla nas bardzo trudny okres. Powtarzaliśmy sobie „dojdziemy, może nie wszyscy, ale dojdziemy".

JSG: *Do czego dojdziecie?*

JJ: Do Polski, oczywiście.



„Księżyc do wynajęcia", od lewej: Gwidon Borucki, Zofia Terne, Stanisław Zięciakiewicz, Nina Oleńska, Meczysław Malicz, Janina Jasińska, Stanisław Ruszała, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar", wyd. Muza.



Marian Hemat, Tola Korian (w środku), Janina Jasińska (z prawej), fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar", wyd. Muza.

JSG: *W 1958 roku przyjechała pani wraz z mężem Stanisławem Lipińskim do Kanady. Pani mąż był filmowcem.*

JJ: Tak. Poznaliśmy się w Egipcie. On był wychowany w Paryżu i tam kończył szkołę filmową. Potem przyjechał do Polski. Podczas wojny tak jak ja znalazł się w Drugim Korpusie gen. Andersa. Filmował w najbardziej niebezpiecznych miejscach, przy samej linii frontu. Tylko on z kamerą i asystent. Kręcił też filmy we Włoszech, pod Monte Casino, blisko akcji. Współpracował ze znanym przed wojną reżyserem – Michałem Waszyńskim.

JSG: *Występowała pani w latach 60. i 70. w Toronto, śpiewała pani na koncertach dla polskich kombatantów, dla marynarzy. Wiele osób przyjechało z Londynu i panią znało. Była pani ukochaną artystką wszystkich tych, którzy przeszli szlak bojowy.*

JJ: Tak rozeszła się szybko plotka, że tu jestem.



Jasia Jasińska w swoim apartamencie w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: *Gdy w latach 90. Maria Nowotarska wraz z zespołem Salonu Muzyki i Poezji wystawiała lwowskie spektakle, była Pani honorowym gościem. Nagrany na płycie głos Hemara zapowiadał pani występ w Londynie, a potem z taśmy można było usłyszeć pani głos .*

JJ: Tak pamiętam. Słuchałam, tego, co śpiewałam w Londynie ze

wzruszeniem. Mój syn i wnuk podali mi kwiaty. To było duże przeżycie.

JSG: *Czy była pani po wojnie we Lwowie?*

JJ: Nigdy nie przyjechałam do Lwowa. Pracowałam w Radio Wolna Europa i to było niebezpieczne.

JSG: *Czy Pani tęskni za Polską?*

JJ: Właściwie już nie tęsknię. Już jestem przerobiona. A może to takie uśpienie? Amnezja?

Jasia Jasińska zmarła w 2011 roku w Sunnybrook Hospital w Toronto.

Józef Korzeniowski –

pisarz z Berdyczowa



Józef Korzeniowski (Joseph Conrad), fot. jrbenjamin.com

Alf Soczyński

Znany na całym świecie pod nazwiskiem Joseph Conrad, anglojęzyczny pisarz, to nasz rodak, polski szlachcic herbu Nałęcz, Józef Teodor Konrad Korzeniowski. Przyszedł na świat 4 grudnia roku 1857.

Matka pisarza, Ewelina z Bobrowskich, była siostrą Stefana Bobrowskiego, jednego z przywódców Powstania Styczniowego, ojciec, Apollo Korzeniowski, był poetą i tłumaczem. Rodzice za działalność niepodległościową zostali w roku 1861 skazani przez cara na zesłanie do Wołogdy, znanej ze srogiego klimatu, dziś 250 tysięcznego miasta na północy Rosji.

Jako 4-letnie dziecko, przyszły pisarz nosił żywność dla ojca osadzonego w warszawskiej Cytadeli. Ślad tamtych wydarzeń znajdujemy w dedykacji na odwrocie jego zdjęcia z tamtego okresu:

> Ukochanej babuni, która mi pomogła biednemu Tatkowi ciastka do więzienia posyłać – wnuczek, Polak – katolik i szlachcic Konrad.

W roku 1865 w Czernihowie nad Desną, jednym z najstarszych miast ziemi kijowskiej, wspomnianym w źródłach już w 907 roku, zmarła jego matka. Ojciec wrócił z zesłania śmiertelnie chory i zamieszkał z synem w Krakowie, gdzie zmarł w roku

1871. Józef Korzeniowski uczył się w krakowskim Gimnazjum św. Anny.

W roku 1874 chcąc uniknąć powołania do armii carskiej, wyjechał do Marsylii, gdzie zaczął pracę jako marynarz. Odtąd morze, okno na świat i piękny, a groźny żywioł, wymagający od człowieka odpowiedzialności, odwagi i niejednokrotnie bohaterstwa, stało się jego wielką pasją. Gdy nie przedłużono mu wizy francuskiej, latem roku 1878 wyjechał do Anglii i zaczął karierę w Handlowej Marynarce Angielskiej. W roku 1886 otrzymał stopień kapitana i uzyskał obywatelstwo angielskie. Pływał na wielu statkach, docierając do portów na wszystkich kontynentach. Obserwował świat i ludzi, zbierał doświadczenia, notował swoje spostrzeżenia. Tak powstawał materiał do jego przyszłego, wielkiego dzieła pisarskiego.

W roku 1894 zrezygnował z pracy w marynarce, ożenił się z Angielką i osiadł na wsi pod Londynem. Już jako dojrzały mężczyzna, zaczął konstruować śmiałe, ciekawe psychologicznie postaci bohaterów swoich powieści i opowiadań, w pełnym wyzwań i sprzeczności świecie. Wydał piętnaście powieści i osiem tomów opowiadań.

Pierwszą jego książką była wydana w roku 1895 powieść „Szaleństwo Almayera". Do klasyki literatury poświęconej ludziom morza, zaliczane są „Murzyn z załogi Narcyza" i

„Tajfun” oraz najgłośniejsza „Lord Jim”. Akcja jego powieści rozgrywa się nie tylko na morzu; ale w wielu krajach wszystkich kontynentów świata. Do znanych i cenionych, w których osiągnął szczyt pisarskiego geniuszu, należy też „Nostromo”.

W dzisiejszym świecie biorącego górę w oddziaływaniu na masy ludzkie, materializmu, i relatywizmu prowadzącego do nihilizmu, literatura Josepha Conrada może być jedną z bardziej ciekawych propozycji widzenia świata człowieka, jako przede wszystkim świata wartości i wyborów moralnych. Krytykował on w swoich utworach kolonializm, wyzysk, cynizm, pogardę dla biednych i słabych, nie tak nam obce i w dzisiejszych czasach tak wspaniale rozwiniętego, jaśnie nam panującego kapitalizmu. Najwybitniejszą z jego książek pokazujących negatywne strony kapitalizmu jest „Jądro ciemności”.

„Gry losu” wydane w roku 1916 przyniosły mu dużą popularność. Wydał także książki sensacyjno-polityczne, takie jak „Tajny agent”, którego bohater dokonuje zamachów terrorystycznych w Londynie oraz „W oczach zachodu”, której akcja rozgrywa się w Petersburgu i Genewie i pokazuje polityczno-terrorystyczne kulisy rewolucji.

Joseph Conrad do końca życia czuł się Polakiem, chociaż nigdy nie dane mu było wrócić, ani nawet odwiedzić Polski. Jakkolwiek pisał po angielsku, nie wyparł się swoich korzeni. Był

wielbicielem twórczości Juliusza Słowackiego, dzięki której nie tracił kontaktu z klimatem Kresów i polskością. Napisał cykl artykułów o popełnionej na Polsce przez trzech sąsiadów zbrodni zaborów. Zmarł 3 sierpnia roku 1924.

Zdaniem wielu, Joseph Conrad jest najbardziej znanym na świecie z polskich twórców, obok Fryderyka Chopina.

Berdyczów, Joseph Conrad i Balzac

Ponieważ większość źródeł podaje, że Joseph Conrad urodził się w Berdyczowie, „wpadnijmy" na chwilę do tego miasta leżącego na pograniczu Wołynia i ziemi kijowskiej, na Wyżynie Wołyńsko-Podolskiej. Jedne źródła podają liczbę mieszkańców tego miasta na ok. 85 tysięcy, inne na około 100 tysięcy. Warto z kilku powodów je odwiedzić.

Pierwszy to ten, że jest miasto podawane jest najczęściej za miejsce urodzin pisarza. Drugi, że można tu spotkać wielu Polaków, a w okolicy znajdują się wsie w większości zamieszkałe przez Polaków. Trzeci powód, to ten, że warto zwiedzić jego zabytki, do których należą:

– Kościół p.w. Niepokalanego Poczęcia NMP z XVIII wieku z cudownym obrazem Matki Bożej, który był sprawcą wielu cudów, przez co Berdyczów był nazywany ukraińską

Częstochową.

– Warowny klasztor karmelitów bosych z XVII w., ufundowany przez ks. Janusza Tyszkiewicza jako wotum za uwolnienie z niewoli tatarskiej w roku 1628.

– Pałac Radziwiłłów z XVIII i XIX w.

– Cerkiew prawosławna z XIX wieku.

– Kościół św. Barbary ufundowany przez Barbarę Radziwiłłówna, w roku 1759, w kształcie drewnianym, murowany w roku 1826. W kościele tym, 14 marca roku 1850 miał miejsce ślub Eweliny Hańskiej i Honoriusza Balzaka, o czym informuje tablica na froncie kościoła, upamiętniająca to wydarzenie. Pisarz zmarł tego samego roku, 18 sierpnia. Ewelina Hańska przeżyła w Paryżu jeszcze wiele lat. Zmarła 10 kwietnia roku 1882. Ona i Balzac pochowani są na słynnym paryskim cmentarzu Pere-Lachaise.

Nie bez przyczyny wspomniałem dwóch ludzi pióra związanych z Berdyczowem – wybitnego znawcę morza i analityka ludzkich dusz – Josepha Conrada i wybitnego analityka ludzkich charakterów oraz rodzącego się kapitalizmu – Honore Balzaca. Niestety, nie udało mi się znaleźć adresu w Berdyczowie, pod którym urodził się Joseph Conrad.

Niektóre źródła podają, że miejscem urodzenia Josepha Conrada jest Terechowa położona kilka kilometrów od Berdyczowa. Do dziś zachował się tam dworek Pilchowskich – rodziny matki pisarza, w którym mały Konrad spędzał sporo czasu w dzieciństwie. Znajduje się tam muzeum pisarza, a na froncie dworku umieszczona została tablica w języku ukraińskim informująca, że w tym domu urodził się wybitny pisarz angielski, Józef Conrad. W ten sposób nasi sąsiedzi kategorycznie przesądzili o miejscu urodzin tego angielskiego pisarza, dyskretnie nie wspominając o jego polskich korzeniach. Czyżby natrafili na nieznane innym badaczom źródła, definitywnie rozstrzygające pytanie o miejsce urodzin wybitnego polsko-angielskiego pisarza?

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku

Hłasce



Marek Hłasko, 1958 r. fot. Getty Image

Piotr Guzy (1922-2018)

Hiszpania

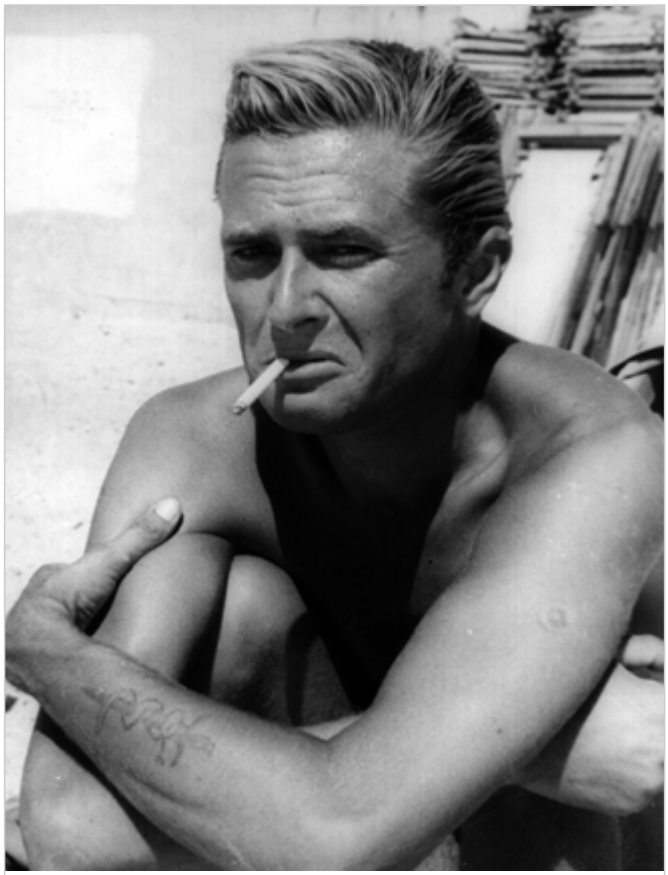
Mieszkalem w tym czasie w Monachium, pracowałem w rozgłośni polskiej radia Wolna Europa. Partie poniższego tekstu są częściowo przepisane z prowadzonego wówczas dziennika.

Pod datą 16 czerwca 1969 zapisałem: Od trzech tygodni czekałem codziennie na telefon od niego, dzwonek przy drzwiach: może on? Na ulicy rozglądałem się uważnie, może go gdzieś spotkam? Trzy tygodnie temu wspólny znajomy powiedział mi, że była żona Marka, znana aktorka filmowa, Sonja Ziemann doniosła mu, że Marek wrócił z Ameryki i razem zamieszkają na kilka miesięcy w Monachium, gdzie bodaj Sonja miała kręcić jakiś film. Pytałem, czy wie z jakiego hotelu dzwoniła, nie wiedział. Zastanawiałem się, czy nie dzwonić po hotelach, szukać go, ale to jak igła w stogu siana.

Rano zadzwonił Wiesio Piekarczyk, że Marek nie żyje, umarł w sobotę (14 czerwca) w Wiesbaden, okoliczności nieznane, wyklucza się możliwość morderstwa. Wstrząśnięty bólem – płakałem. Przez uchylone drzwi zobaczyłem tego ubeka z parteru, jak szedł chodnikiem. Takie skurwysyny żyją, a taki piękny człowiek, jak Marek, umiera w szczenięcym wieku 35 lat. Przez cały dzień bylem przybity, milczałem, słowa nie potrafiłem z siebie wydusić, miałem ciśnienie w piersiach.

Po południu Wiesio zadzwonił z dalszą wiadomością: Marek umarł na skutek zażycia tabletek nasennych w pijanym widzie. Nie wiadomo kiedy będzie pogrzeb, przypuszczam, że pojutrze, bo jutro jest święto jedności (rocznica wybuchu powstania w Berlinie wschodnim w roku 1956) – pojadę. Tak czekałem na niego, tak chciałem się z nim spotkać, może by nie doszło do tej

głupiej, niepotrzebnej śmierci. Byliśmy z tego samego pokolenia literackiego, poznaliśmy się bodaj w l951 roku na zjeździe młodych pisarzy w Oborach. Jego śmierć to tak jakby ktoś okroił mnie o jakąś część mojego własnego ciała. Dopóki żył wiedziałem, że nie jestem sam, teraz – taka strata dla literatury. „Sowa córka piekarza" była najlepszą powieścią jaką dotąd napisał. Największy pisarz naszego pokolenia – miał przed sobą jeszcze 50 lat twórczości – mierzyłem się z nim, szukałem jego uznania. Pod wieczór poszliśmy z Ishbel (moją żoną) na piwo do Schwabinger Treffpunkt, cały czas miałem łzy w oczach. Skupiłem się w sobie metodą yogi i uspokoiłem się na dobre. Wieczorem u Dobków, już mogłem spokojnie o nim mówić.



Marek Hłasko, fot. Archiwum Marka Hłaski

Przyszedł Czesio i powiedział, że pogrzebem Marka zajmuje się Bożękowski – dał mi jego telefon – dowiem się szczegółowo, jeśli nie ma jeszcze pasażera na wolnym miejscu w jego wozie, to może mnie zabierze.

Bożękowski będzie jutro rano dzwonił na policję w Wiesbaden, dowie się kiedy będzie pogrzeb. Niestety mnie nie będzie mógł zabrać, bo Barbara Nawratowicz już wczoraj prosiła, żeby ją wziął ze sobą. Nic nie szkodzi, pojadę pociągiem.

Spałem w ubraniu na tapczanie w moim gabinecie. Zadzwonił telefon: Bożękowski. Byłem kompletnie pijany, przerwa w życiorysie, nie rozumiałem co się stało. Potem Ishbel opowiedziała: wieczorem poszliśmy do Schwabinger Treffpunkt na piwo, dołączył do nas ksiądz (duchowny opiekun pracowników radia), potem przyszli Wilczyńscy. Dalej chlanie, potem wróciliśmy wszyscy do nas, ksiądz przyszedł z Kazikiem Wilczyńskim, wypiliśmy prawie całą butelkę rumu austriackiego, hałasowałem na klatce schodowej i zbudziłem sąsiada, pana Bożęckiego. Po południu kupiłem bukiet kwiatów i zaniosłem z przeprosinami. Jeśli nie będę na siebie uważał, to zniszczy mnie

alkohol.

*

Wyjazd z Bożękowskim do Wiesbadem. Jechaliśmy jego „proszą”, cały czas w deszczu, okropne.

Wzięliśmy pokój w hotelu Silvana na Kapellenstrasse 4, ja płaciłem: 100 marek plus 12 za telefon. W zachowanym do dziś dzienniku mam wklejony kwit. Sonja zatrzymała się w hotelu Schwarzer Bock, gdzie można brać kąpiele błotne.

Powiedziała nam przy pierwszym spotkaniu, że jeśli byłoby konieczne jechać taksówką, to mamy pamiętać, żeby od kierowcy wziąć pokwitowanie. To się jej przyda przy obliczaniu podatku dochodowego. Powiedziałem, że z całą pewnością tak uczynimy. Już rozwiedziona z Markiem, ale tu na jego pogrzebie występowała jako *ehemalige Frau Marek Hlasko*. Sonja od stóp do głów przebrała matkę Marka, panią Marię Gryczkiewicz, gdy ta tu przyjechała. Miała ją u siebie w pokoju, dzwoniła do najbardziej wykwintnego składu w mieście i kazała przynieść wyszczególnione artykuły damskiej odzieży. Jeżeli coś nie pasowało, zwracała i przynosili nowe.

Marek Hłasko z żoną, niemiecka aktorką Sonją Ziemann,

fot. East News.

20 czerwca, pogrzeb Marka na Sudfriedhof. Szedłem za trumną wiezioną na czterokołowej taczance. Sporo ludzi, przeważnie związanych z kinem, teatrem. Był Moll z wydawnictwa Kiepenheuer und Witch z Eriką, jego żoną, jakaś para aktorów, ona Niemka, on Holender, Bożękowski, no i ja. Myślę, że było w sumie jakieś dwadzieścia osób. Bardzo szybko spuszczono trumnę do wykopanego już dołu, zasypano ziemią, na górze zrobił się wcale pokaźny kopiec, na nim wieńce, dużo wieńców. Na ten kopiec rzuciła się matka Hłaski, pani Maria Gryczkiewicz, szeroko rozłożonymi rękami objęła grób, w potężnych spazmach łkała, płakała, całym ciałem zespolona z tym kopcem, rękami jakby rwała tarninę, jakby chciała dorwać się do samej ziemi, wniknąć do samej trumny, rozerwać ją, to było żenujące.

Wieczorem obiad w hotelu Schwarzer Bock, zaprosił nas Moll, był redaktorem utworów Marka w wydawnictwie Kieppenheuer und Witch, jego żona Erika, była też ta aktorska para holendersko-niemiecka, jeszcze kilka osób, potem wstaliśmy wszyscy od stołu i przeszli do baru, gdzie piliśmy do piątej nad ranem.

*

Moja teoria śmierci Marka była taka. Marek miał w Izraelu dziewczynę, Esther Steinbech(?), którą kochał. Były pogłoski, że miał z nią dziecko. W czasie fatalnej nocnej popijawy miał w kieszeni bilet lotniczy do Tel Awiwu. Miał tam lecieć następnego dnia. Zadzwonił do Sonji do Berlina, że na zlecenie telewizji niemieckiej będzie kręcił film w Izraelu. Sonja wiedząc, że Marek zamierza lecieć do Iraela, zadzwoniła do gospodarzy, żeby za żadną cenę nie pozwolić Markowi wyjechać, róbcie co chcecie, tylko żeby został u was, ja przylecę i będę na miejscu przed południem. A Marek pił, zresztą wszyscy pili, ale Marek pił najwięcej, bez umiaru. W takiej sytuacji ktoś mógł mu dać tabletkę nasenną, może dwie, włożyć do szklanki z alkoholem, by się upewnić, że zaśnie i będzie spał do czasu, gdy Sonja już tu będzie. Czy była obdukcja, nie wiem, ale chyba nie.

Opowiadała mi pani Maria, że poszła z Sonją na policję odebrać pozostałe po Marku dokumenty, paszport i w ogóle jego papiery. Otóż jak tylko te papiery znalazły się na powierzchni biurka, Sonja bardzo szybko złapała bilet i poleciała z nim do toalety, gdzie go zniszczyła.

I to byłoby wszystko co było – moim zdaniem – warte zapamiętania i zamieszczenia w prowadzonym wtedy, chociaż nieregularnie, dzienniku.

*

A z innej beczki: niecałe dwa tygodnie później amerykańscy astronauci Armstrong i Aldrin, na pokładzie statku kosmicznego Apollo Jedenaście, wylądowali na księżycu.

Kraj Bolivara



Florian Śmieja (pierwszy z lewej) w Caracas.

Florian Śmieja

Wenezuela nie leży na utartym szlaku amatorów turystyki wyprawiających się najchętniej na wyspy Karaibskie, Florydę czy do Meksyku. Ale ten, kto zasmakował w świecie Latynosów, powinien prędzej czy później puścić się dalej. Czasem będzie to sprawa przypadku. Wybierałem się do Kolumbii do Bogoty, ale wylądowałem w Caracas w Wenezueli.

Z Toronto chciałem lecieć urozmaiconą trasą przez Trinidad, cóż kiedy samolot się spóźnił i w Nowym Jorku trzeba było przesiąść się na samolot linii Viasa. Współpasażowie, Wenezuelczycy, objaśnili wnet, że w ich kraju ustawicznie świeci słońce, dojrzewają pyszne owoce i jest doskonała kawa. (O tym ostatnim miałem się wnet potem przekonać, bo tę kawę podawano w różnych postaciach, najczęściej słodką i piło się ją przez słomkę). Jabłka natomiast kosztowały fortunę, ale zrezygnowanie z nich na rzecz konsumowania fioletowo-czerwonego mango, czy najróżniejszych odmian bananów, nie martwiło nikogo.

Viasa ma staroświeckie zwyczaje podawania pasażerom jadłospisu w języku angielskim i hiszpańskim. Wiele lat wcześniej na London School of Economics moim studentem był syn właściciela Viasy. Kto wie, gdybym był utrzymał z nim kontakt, to może poleciałbym pierwszą klasą? Lot był spokojny, przed samym celem trochę nas pohuśtalo.

Lotnisko leżało nad samym morzem. Taksówkarz gnał jak szalony mamrocząc w niezrozumiałym dialekcie. W porównaniu z jego jazdą huśtanie samolotu było fraszką. Mijał z prawej strony, wjeżdżał na chodnik, ale ponieważ żaden instrument w jego samochodzie nie był oświetlony, nie mógłbym w razie czego przysiąc, że jechał nieregulaminowo. Na szczęście miał hamulce.

Z mroku wyłaniało się Caracas, miasto zamknięte w dolinie górskiej, duszące się, oddychające wąską krtanią splątanych dróg i wiaduktów z ruchem drogowym, który przyprawiał o nerwicę. Całe nasze zjazdowe towarzystwo zostało zakwaterowane na piętnastym piętrze hotelu Hilton. Dzieliłem apartament z sędziwym profesorem z uniwersytetu Yale, Kubańczykiem z pochodzenia, z teatrologiem z Buenos Aires, z dyrektorem teatru w Limie oraz z profesorem meksykańskim. O spaniu nie było mowy, Latynosi nie uznają wczesnego chodzenia do łóżka. Mój towarzysz z Limy pogubił różne drobiazgi, więc pożyczył ode mnie grzebień: trudno było wejść w bardziej intymną komitywę.

Podczas obrad poświęconych historii teatru Ameryki Łacińskiej, a odbywającym się w gmachu Ministerstwa Oświaty, powstał na ulicy tumult. To młodzież licealna przyszła domagać się dofinansowania ich szkół. Kiedy wybuchła petarda jako zaczepka czy też prowokacja, policja ruszyla do akcji. Postrzelała w powietrze, rzuciła gaz łzawiący, a dobywszy pałek zaczęła łoić

studenterię. Wnet stała się panem pobojowiska zasłanego transparentami, plakatami i częściami garderoby. Lokalni teatrolodzy skomentowali zajście jako stały teatr życia. Myślę teraz, że kto z bliska nie oglądał i nie przeżył dramatu latynowskich stosunków politycznych i społecznych, będzie miał bardzo niekompletne wyobrażenie o rzeczywistości Ameryki Łacińskiej.

Wspomniałem wielki ruch w Caracas, a równocześnie ciasnotę. Otóż w niedziele autostradę, która prowadzi przez środek miasta zamyka się dla ruchu kołowego i wtedy ludność wylega na deptak, a dzieci mają szczególną uciechę. Wenezuela ma bogate złoża nafty, dlatego benzyna jest tania i stąd zatrzęsienie samochodów, choć są one kosztowne. Wszystko zresztą oprócz owoców i napojów jest drogie w Wenezueli. Trudno jest zrozumieć, jak przy takiej drożyźnie ludzie ubodzy potrafią się wyżywić, ubrać i mieszkać. Sprawę komplikuje przeludnienie Caracas. Tysiące nędzarzy z całego kraju pobudowało sobie na okalających stolicę pagórkach tzw. ranchitos, budy sklecone z byle czego i mieszkają w okropnych warunkach zdrowotnych. Żyjąc z czego się da, mieszkańcy tych slumsów nękają ludność stolicy napadami i kradzieżami, czego i nasza grupa doświadczyła.

W Caracas trzeba zobaczyć panteon na wzgórzu, w którym spoczywa Simón Bolivar, bohater wyzwolenia Ameryki

Łacińskiej. Czterech żołnierzy, Metysów w oliwkowych mundurach z amarantowymi wypustkami trzymało straż pod karabinami. Po zmianie warty ci czekoladowi wojacy w białych rękawiczkach i białych pasach płynęli wzdłuż nawy świątyni z lekkością tancerzy i ludzi tropików, jakby te zgrabne ruchy najwierniej składały hołd czlowiekowi, który otworzył im drogę do współgospodarowania piękną, bogatą ziemią, nazwaną przez naiwnych odkrywców, Małą Wenecją.

Orchidea jest narodowym kwiatem Wenezueli, która chlubi się kilkudziesięcioma odmianami tego kwiatu i wiele ich rośnie dziko w puszczach. Jej flora jest przebogata, nie mogłem się napatrzeć urodzie różnorodnych krzewów uginających się pod ciężarem wielobarwnych, wonnych kwiatów, od których odrywały się chmary gibkich, wąskoskrzydłych motyli, czarnych pod spodem, a z czerwonymi lub cynobrowymi plamkami z wierzchu. Tropikalny gąszcz, o który zawadziłem w górach za Maracay dyszał życiem, szumem wody, kumkaniem żab, szczekaniem ropuch, muzyką cykad i ptaków oraz myszkowaniem dydelfów, ssaków wielkości kota z pyska i ogona podobnych do pancernika. Na skwerze w śródmieściu Caracas zobaczylem trójpalcego leniwca schodzącego z palm, jak ociężały elektryk ze słupa, który potem czołgał się do następnego drzewa.

Wielu Wenezuelczyków dla osobistego bezpieczeństwa nosi broń. Kobiety tamtejsze są zgrabne, śliczne, o wszystkich odcieniach

cery, umalowane są dyskretnie i bogato ozłocone. Cechuje je elegancja. Nie rezygnują z niej nawet, kiedy ubierają dżinsy, które ozdabiają koronkami. Wydały mi się przesympatyczne, godne i wyrozumiałe. Często wyzyskiwane i dyskryminowane posiadają wiele słodyczy, dobroci i uroku egzotyki.